

Moje
życie z Różą

Józef Rohleder
Moje życie z Różą

Opracowanie redakcyjne
Kazimierz Grabas
Marcin Reder

Projekt okładki
Marcin Makulski

Wydawca
Wydawnictwo Lektorium

Wrocław 2004

Józef Rohleder

Moje
życie z Różą

Spis treści

*Niniejsza kronika jest hołdem
składanym śp. Róży
mej nieodżałowanej Żonie,
w podzięce
za stworzenie wrocławskiego domu,
za ciepło, troskliwość i miłość,
jakimi nas każdego dnia otaczała.*

*Składam też serdeczne podziękowania
Pierwszym Czytelnikom tej kroniki:
moim Synom, Synowym, mej Brataniczce
oraz gronu Przyjaciół –
którym udało się dotrzeć do końca tej opowieści –
za ich – jakże cenne –
opinie, sprostowania, rady.*

autor

1. Pierwsze kroki 7
2. Piątka z ulicy Lubomirskiego 22
3. Praca na stacji kolejowej 30
4. Studia uniwersyteckie 40
5. Początki pracy zawodowej 51
6. Praca dyplomowa 62
7. Stopnie i tytuły naukowe 76
8. Święta roku 1953 90
9. Życie z Różą 97
10. Przewrocza z Kanady 115
11. Zakończenie 145

1. Pierwsze kroki

Mój ojciec, Józef, przywędrował do Polski kilka lat po odzyskaniu Jej suwerenności z górskich okolic Moraw, gdzie mieszkał ze swoją pierwszą rodziną w pobliżu Morawskiej Ostrawy. Nie wiem dokładnie, co skłoniło go do emigracji, ponieważ z nami (dziećmi) nigdy tych tematów nie poruszał. Z zasłyszanych urywków rozmów między rodzicami mogę się jedynie domyślać, że powodem mogły być rozbieżności między moim ojcem a jego rodziną, odnoszące się do spraw majątkowych, sposobu życia etc. Nie wiem też, co skłoniło go do emigracji akurat na północ, skoro wszystkie inne kierunki wyjścia z Czech wydają się korzystniejsze dla rozwoju. Krakowem został najpewniej od razu zauroczony, jak i mnie się to przydarzyło przed laty.

Osiedlił się więc w Krakowie przy ulicy Lubomirskiego 9, w dzielnicy Wesoła, niedaleko dworca kolejowego, znalazł zatrudnienie w warsztatach taboru tramwajowego (mieściły się one w dzielnicy Kazimierz) i małe mieszkanko, składające się z średniej wielkości pokoju i maleńkiej kuchni, całkowicie pozbawionej okien. Pozostaje zagadką jak sobie z tym wszystkim poradził jeśli przyjąć, że bardzo dobrze znał język niemiecki, doskonale czeski, ale nie znał polskiego.

I zaraz następną zagadką: żonę, Karolinę Boromeuszową (z kalendarza, nie z metryki!) którą nazywał Olą, przywiózł sobie z Andrychowa. Dlaczego nie wybrał żony w Krakowie? Może odstraszały go wielkomięjskie dziewczyny (zawsze był nieśmiałkiem), a może niemiłe czeskie doświadczenia? Ale wybór miejsca zamieszkania, jak i żony wskazują, że miał swoje, zupełnie zdecydowane, upodobania.

Przyszedłem na świat w styczniowej porze roku 1925. Przez pierwsze cztery lata wiodłem życie jedyńka o imieniu poszerzonym o Władysława, ponieważ okrzyk Mamy: „Józiu!” mobilizował zwykle nas obu. Z tego okresu zachowałem kilka wspomnień.

W dzień powszedni rano budziła mnie swoista muzyka domowa, dochodząca z kuchni. Mama wstawała o szóstej i szykowała Ojcu dwa śniadania: pierwsze zjadał (a właściwie wypijał) w domu, drugie zabierał z sobą. Działania Mamy zaczynały się od zapalenia „Primusa”. Palnik, ogrzewany płomykiem spirytusu nalanego na kolistą rynienkę, wytwarzał po jakimś czasie parę benzyny, która była właściwym pali-

wem. Rozgrzany prymus palił się z delikatnym szumem, przy którym zamykało się powtórnie oczy, jak przy najlepszej kołysance. Dodatkową „muzykę” wytwarzał imbryk. Po wyekspediowaniu ojca Mama miała jeszcze krótką chwilę wychnienia, po czym przychodziła kolej na mnie.

Ojciec pracował w Zakładzie o nazwie „Krakowska Miejska Kolej Elektryczna” (KMKE), mieszczącym się przy ulicy Wawrzyńca, niedaleko Wisły. W niektóre dni wędrował ze swym drugim śniadaniem w kierunku Wisły, do baru „Przystań”, prowadzonego przez zaprzyjaźnionego restauratora, Pana Kotarbę. Dokładał tam do niego (śniadania!) a to kawałek czegoś „klousteho”, rozumiejąc przez to zwykłe plasterki pieczonego boczku (lub – jak mawiano w Krakowie – wędzonki), a to kwaręla (kto jeszcze potrafi odgadnąć, co to było?)¹ albo kufelek jasnego piwa – w zimie obowiązkowo z sokiem malinowym i ogrzanego. Dowiedzieliśmy się z bratem o tych mechanizmach w wieku lat kilkunastu; zapraszani przez ojca do odwiedzenia go w miejscu pracy, staliśmy się też „bywalcami” Przystani, pociągającymi od czasu do czasu łyk piwa z ojcowego kufla.

Ojciec był człowiekiem bardzo spokojnym, dobrodusznym nie-mal. Niewątpliwie darzył nas obu silnym uczuciem i cierpliwie spełniał nasze – dziwne nie raz – zachcianki. Najlepszą charakterystykę Jego osobowości podaje w liście do mnie jeden z moich krakowskich Przyjaciół, Waldemar Badyłak. Poznałem go za pośrednictwem brata, z którym był rówieśnikiem i razem chodziliśmy do tej samej szkoły im. św. Mikołaja, mieszczącej się przy ul. Lubomirskiego. W liście pisze Waldek o moim Ojcu tak: „uroczy, starszy Pan, „trochę” łysawy, z maleńkim wąsikiem pod nosem. Zawsze uśmiechnięty i gotowy dać odpowiedź na każde (prawie) pytanie, rozwiązać każdy (prawie) problem, załatwić każdą (prawie) sprawę. Traktujący nas nie jak nudzących maślaków, lecz trochę mniej doświadczonych, młodszych prawie kolegów. Pan, który samodzielnie wykonał szafę w swoim domu i ozdobił ją wykonanym przy pomocy „laubzegi” ślicznym motywem roślinnym.

Drugie wspomnienie łączy się z bliskością kościoła i klasztoru OO. Karmelitów Bosych. Po drugiej stronie ulicy Lubomirskiego, tj. naprzeciw naszych okien, znajdował się wysoki płot, ograniczający posesję klasztorną; za nim, w odległości linii prostej może 50 m, biegł front klasztoru z kościołem po prawej stronie. I teraz wyobraźcie so-

bie błyszczący słońcem majowy, niedzielny poranek, gdy w krystalicznie czystym powietrzu rozlega się z wieży kościelnej dźwięk trąbek, grających dwugłosowo:

„Zdrowaś Maryjo, Bogarodzico,
Błagamy Ciebie, Święta Dziewico –
Niech łaska Twoja zawsze nam sprzyja –
Bądź pozdrowiona, Zdrowaś Maryja”

Czyściuteńko, dźwięcznie, żadnych kiksów – aż dreszcz przebiegał po plecach. O spaniu, oczywiście, nie było mowy.

Kiedy mój brat miał się już niedługo urodzić i dociekliwemu maluchowi trzeba było jakoś wyjaśnić przedziwny fakt powiększania się objętości Mamy pamiętam, że zakrzyknąłem: „Mamo, ja nie chcę braciszka! Jak się urodzi, to wyrzucę go przez okno!”. Brat Zdzisław urodził się jednak w roku 1927 i do żadnych awantur już nie doszło. Życie szybko dało mi do zrozumienia, że teraz już nie byłem ten pierwszy.

Pamiętam też, że kiedy mieliśmy pięć i siedem lat, dostaliśmy rower trójkołowy; piękny, chromowany, jakiego nikt nie miał w okolicy. Miał skórzane siedzenie i najprawdziwszą kierownicę. Ale było nas dwóch! Dla tego drugiego ojciec zamówił małą ławeczkę, odlaną z aluminium i przykręcaną między tylne dwa koła. Stawało się na niej i – trzymając się uchwytów przytroczonych do siodła – mogliśmy używać roweru obaj. Szybko jednak okazało się, że ten drugi nic prócz pleców brata nie widzi – zaczęły się scysje o „stanowisko kierownicze” mimo, iż był z nim związany obowiązek kręcenia pedałami. Na to rada była już tylko jedna: zamiana ról, co przez jakiś czas funkcjonowało.

W lecie też mieliśmy nie byle jakie urozmaicenie, którym były la-tawce. Konstruował je mieszkaniec naszej kamienicy, z zawodu cukiernik (dostawaliśmy czasem w prezentach (na ogół świątecznych) jego wyroby, przedstawiające zwykle jakieś figurki z ciasta, ugarniowane polewami z cukru). Rozkład lokatorów w domu przy Lubomirskiego 9, na „naszym” pięttrze, był następujący; kiedy wyszedłeś na pierwsze piętro i nie zmieniłeś swej orientacji (ulicę mógłbyś dojrzeć przez otwarte drzwi i okno na wprost oczu), wówczas po lewej ręce (idąc za wskazówkami zegara odpowiadało to „godzinie 6”) – mieszkała pani Suchan. W tamtym czasie już staruszka, chodząca o lasce. Córkę miała zamężną w Austrii, z rzadka ją odwiedzającą. Kiedy przy-

jechała do Krakowa, bardzo lubiła pogawędzić sobie z moim Ojcem – oczywiście, po niemiecku. Mieli oboje dużo wesołości, że im to tak gładko idzie, podczas gdy my (z Mamą i Zdziśkiem) nie mieliśmy pojęcia, o czym rozprawiali (w stosunku do nas, chłopców, Ojciec miał doskonały argument w rękę: – uczcie się, chłopcy, języków!). Idąc dalej za ruchem wskazówek mieliśmy na „godzinie 9” drzwi do Rohlederów; dalej, na „godzinie 12” było mieszkanie Wagów („dziad i baba” – już starzy oboje i wiecznie narzekający na hałasy i przeciągi w kamienicy) i wreszcie, na „godzinie 3”, były drzwi do cukiernika, który w chwilach wolnych wykonywał owe latawce. Były to całe konstrukcje, składające się z „głowy”, „ogona” i różnych dodatków. Rdzeniem był krzyż z listewek, klejony(!); do najkrótszego ramienia, pionowego, przymocowywało się śródek listewki, wygiętej (nad parą!) w półokrąg, którego końce przytwierdzone były do ramion poziomych. Obwodem latawca biegł sznurek, ułatwiający rozpięcie na nim przykrycia, wyciętego z kalki kreślarskiej. Należało teraz do dłuższego ramienia krzyża przymocować oba końce kawałka sznurka, do którego przywiązywało się sznurek wodzący. Wszystkie roboty musiały być wykonane w taki sposób by latawiec, przytrzymywany za sznurek wodzący, leżał w płaszczyźnie poziomej; mówiło się wówczas, że jest wyważony. Ważne też było, by ogon nie był za długi: poprawiało to stabilność lotu, ale wytwarzało duży opór przy prowadzeniu latawca pod wiatr, co groziło zerwaniem kontaktu z ręką. Sznurek w tej zabawie decydował w dużym stopniu o jej wynikach. Puszczaliśmy te latawce na krakowskich Błoniach, albo nad Wisłą; teren nad rzeką był, rzecz jasna, trudniejszy. Przy umiarkowanym wietrze i dobrym przygotowaniu latawca (na przykład, punkt przyczepienia dla sznurka wodzącego trzeba było dobierać w terenie) szło w górę 600 metrów sznurka; a był to splot nadzwyczaj cienki i jednocześnie bardzo mocny (do przerwania trzeba było użyć rękawic skórkowych). Dodatkową ekscytacją była zabawa w „telegraf”: kawałek papieru w dziurkę w środku umieszczony na sznurku wędrował po nim ze sporą prędkością i na ogół kręcił się przy tym. Raz lub dwa wróciliśmy z wyprawy bez latawca i bez sznurka...

Ulica Lubomirskiego była w tym czasie mało znaczącą przecznicą Rakowickiej. Przejeżdżały tędy tylko furmanki, stające często przy krawężniku na popasie; woźnicy załatwiali jakieś interesy, a konie w tym czasie zanurzały łby w przyczepionych do chomąt workach ob-

roku, sięgając po nową porcję siana. Następnie rozlegało się zawsze mnie intrygujące chrupanie, jakby koń jadł ogórki a nie siano. Od czasu do czasu któryś rozstawiał nogi, po czym rozlegał się szum przypominający nagle uruchomioną sikawkę strażacką; taki wóz trzeba było obchodzić bardzo szerokim łukiem.

Ulicą Rakowicką tramwaj w zasadzie nie jeździł – przemierzał jedynie małą jej część u zbiegu z ulicą Lubicz, co było odcinkiem pętli podmiejskiej. Wzdłuż całej Rakowickiej szyny położono dopiero na początku lat trzydziestych. Trakcja dochodziła aż do Cmentarza Rakowickiego; nowy odcinek miał długość blisko 1 km. Asystowałem tej budowie przez czas jej trwania, ponieważ było to duże wydarzenie w tej części miasta, gdzie latami nic się nie działo. Od razu zwietrzyłem ciekawy szczegół: spawanie szyn tramwajowych. Do łączenia szyn nie używano palników acetylenowych, lecz – być może po raz pierwszy – metody spawania termicznego. Koniec szyny i początek następnej zbliżano na odległość 2 – 3 cm i mocowano. Okolicę złącza okładano gliną ognioodporną; powstawała forma odlewnicza, do której wsypany mieszaninę kawałeczków drutu aluminiowego i grudek rudy żelaza. Po zapaleniu tej mieszaniny odbywała się reakcja termo – chemiczna, w wyniku której ruda ulegała redukcji do czystego żelaza, aluminium zaś zamieniało się w tlenek. Reakcja była gwałtowna i przez to bardzo widowiskowa: wśród milionów iskier cały ładunek zamieniał się w płynną masę żelaza i korundu, który – jako lżejszy – wypływał na wierzch formy. Kulisy tej sprawy wyjaśnił mi Ojciec. Oczywiście, nie tylko musiałem to zobaczyć z bliska, ale też dostać (w typowo krakowskim slangu mówiło się „wycyganić”) trochę tej magicznej mieszaniny. Wszelkie jednak próby zainicjowania reakcji przy pomocy zapalek spełzały na niczym. Do zapalenia mieszaniny potrzebne było bowiem ogniwo pośrednie, tj. „zapałka” wykonana z mieszaniny magnezjowej, którą zapalano przez potarcie i wrzucano do reaktora. To także opowiedział mi Ojciec, ale zapałek mi nie dał. Dobrze wiedział, co mógłby zastać pewnego dnia po powrocie do domu...

Po odbiciu korundu każde łącze szlifowano do gładkości. Metoda miała tę wyższość nad spawaniem palnikowym, że obie szyny łączone były na całej powierzchni przekroju. I w końcu zyskałmy linię tramwajową do Cmentarza, a dzielnica Wesoła połączenie komunikacyjne z miastem.

Zimą uprawialiśmy namiętnie saneczkarstwo – nie pamiętam, czy miałem kiedykolwiek łyżwy a z całą pewnością nie miałem nart. A zimy były w Krakowie w latach trzydziestych mroźne i bardzo śnieżne. Temperatura całymi tygodniami utrzymywała się na poziomie minus kilkunastu stopni, nierzadko przekraczając minus dwadzieścia. Śniegu też padało tyle, że sięgał młodzieży do kolan; dozorczy zmiatali go w metrowe pryzmy, które topniały nieraz aż do początków kwietnia. Sanki mieliśmy nadzwyczaj porządne: robione w warsztacie stolarskim na zamówienie, miały płozy dębowe, gięte i podkute płaskownikiem. Długość wystarczała na trzech chłopców; prowadziło się je łatwo i gładko. Ale jazda wzdłuż ulicy nie była niczym ciekawym zwłaszcza, że sanki musiał stale ktoś ciągnąć. Szukaliśmy przeto gór.

Były takie górki w Krakowie i to niedaleko. Kiedy się szło ulicą Lubomirskiego w kierunku rosnącej numeracji domów, natrafiało się po pewnym czasie na przecznicę, którą była ulica Mogilska. Po jej przekroczeniu (uwaga, duży ruch!) widoczne były stare fortyfikacje austriackie z górkami i dolinami o wielkościach akurat wymarzonych do saneczkarstwa, o różnym nachyleniu i wysokości. Teren ten był strzeżony przez jakiś czas, jak gdyby w wyczekiwaniu na nową zawieruchę wojenną, ale zimą go udostępniano. Chodziliśmy tam z rodzicami, później sami z kolegami, ale musieliśmy przyrzekać, że nie będziemy zjeżdżać w kierunku Mogilskiej. Znacznie dłuższe trasy, przekraczające nawet 2 km, można było znaleźć za Błoniami, w okolicach Lasku Wolskiego. Była to jednak już większa wyprawa, na którą nie wybieraliśmy się sami.

Tak żyliśmy szczęśliwie aż do roku 1937, trwając przy dzieciennych zabawach, wybierając pod kontrolą czujnych oczu Mamy naszych kolegów (każdy miał swe „towarzystwo”), ochraniając płaszczem gdy dął zbyt duży wiatr lub szalikiem, gdy mróz zbyt silnie szczypał. Młodość upływała w krainie szczęśliwości, pod ochroną i bez większych obowiązków. Jeździliśmy z Rodzicami na długie letnie wakacje, natomiast nie było zwyczaju wyjazdów zimowych.

Świadectwa szkolne rozdawano 22 czerwca – nie było z nimi problemu. Uczyliśmy się obaj dobrze; jeśli idzie o sprawowanie – nie było wobec nas poważniejszych zarzutów. Już nazajutrz rozpoczynaliśmy zbieranie i pakowanie naszych bagaży choć wiadomo było, że jeszcze z tydzień zmitrzymy w domu. Ale były to wszystko rzeczy, które absolutnie musiały być zabrane; pościel, przykrycia, naczynia – mo-

gły zostać w domu, nasze rzeczy – nie. W przeciwieństwie do dzisiejszego sposobu podróżowania w towarzystwie co najmniej dziesiątka walizek średnich, dużych i małych, kartonów, pinkelków etc., zabieraliśmy z sobą tylko jeden pakunek: duży kosz wiklinowy, jakich dziś jeszcze używa się do przechowywania większych rzeczy, zamknięty na kłódkę i obwiązany grubym sznurem. Oczywiście, musiał być „nadany jako bagaż”, co zapewniało jazdę w jednym pociągu z nami.

Wyjazdy wakacyjne zaczęły się gdzieś koło roku 1930. Najpierw 3 lub 4 razy do Nowego Targu, następnie 4 lub 5 razy do Sieniawy. W Nowym Targu mieszkaliśmy „w mieście”, przy ulicy Św. Doroty 4, u Państwa Dąbrowskich. Byliśmy tam znacznie później z Różą, ale niczego z dawnych realiów nie udało się odszukać po sześćdziesięciu latach (dziś już nawet nie pamiętam, czy ta ulica jeszcze istnieje...). A wtedy...

Wtedy miałem około cztery lata, śliczne wiaderko, takąż łopatkę i „przydział” Pana Dąbrowskiego na „moją” parcelę koło płotu, gdzie mi wolno było robić dziury. Właściwie to były „dziury”, bo do kilku lat nie mówiłem „r” i Rodzice już się tym martwili (również nasz Krzysio do kilku lat nie mówił „r” i któregoś dnia zaskoczyło). Więc to pamiętam, jak dziś: piękny letni ranek, ja sam z łopatką przy płocie, a tu nagle coś wyłazi zza płotu i lezie na mnie... Nie namyślając się za długo pacnąłem łopatką po głowie i to „coś” padło nieruchomo. Na mój krzyk wybiegli moi Rodzice, p. Dąbrowski, po czym wywiązał się mniej – więcej następujący dialog:

- Coś ty zrobił? (tata),
- Pacnołem go tylko łopatką w głowę... (ja)
- Przecież to kotek naszego gospodarza... to nasz kotek...
- A to po co on wlaż na moją paucele...? broniłem swego stanowiska (i nie wymawiałem „r”).

Tu nastąpiła perswazja, że parcela wcale nie jest taka „moja”, co mnie wprowadziło w takie osłupienie, że już bez większych oporów wydłubałem w ziemi dołek, w którym kotek został pochowany.

Nowy Targ nie był dobrym wakacyjnym miejscem. Teren raczej płaski więc mało urozmaiceń krajobrazowych; była wprawdzie rzeka, ale z plażą nie ułatwiająca ułożenia się w słońcu. Na Sieniawę trafiliśmy prawdopodobnie sami, z okien pociągu. Kiedy wagony zjeżdżają do Zakopanego, pociąg osobowy przystaje na małych stacyjkach... Raba Wyżna, Sieniawa, Lasek, Nowy Targ... Ale tylko Sieniawa zwr-

ca uwagę pagórkowatym terenem o wspaniałej, bujnej zieloności, porośniętych lasem, z pięknymi, nasłonecznionymi halami... Toteż jest wspaniałym terenem dla hodowli owiec, których tam wcale nie ma. Owce znajduje się dopiero na podtatrzańskich halach, jeszcze rozleglejszych. W drodze do Zakopanego pociąg poruszał się tak wolno, że śmiało można było wysiąść dla zyskania ulgi, a następnie wsiąść do ostatniego wagonu. W każdym razie krajobraz można było oglądać całkiem szczegółowo.

Sama Sieniawa jest prymitywną, ale uroczą wioską – i taką pozostała do dziś. Sklepu tam nie uświadczysz – po zaopatrzenie i artykuły przemysłowe jeździ się do Nowego Targu. Jedyne miejsce, gdzie coś sprzedawano, był bar „U Maciagi”, gdzie można było kupić piwo, wódkę, no i może kawałek mydła... W gorący, letni wieczór bar był oblegany przez piwoszy, błyskających w zachodzącym słońcu podnoszonymi co jakiś czas do góry butelkami... Po „sesji” piwosze wracali późnym wieczorem do swoich domów, oczywiście „streką” i piyknie śpiewali na dwa głosy. W ciepłą noc było ich zapewne słyhać na sąsiednich stacjach. A tor był tylko jeden, na wąskim i wysokim nasypie i trzeba było dobrze się strzec... Poważniej rzecz biorąc, tą trasą musieli prowadzić pociągi szczególnie przytomni maszyniści. Byłem raz świadkiem niezwykłego wręcz wydarzenia. Poszliśmy tego dnia na wycieczkę do tak zwanego „wąwozu”; szliśmy, oczywiście, górą, ponieważ wąwóz wykuty jest w skale na przestrzeni jednego kilometra i tak wąski, że piechur idący „streką” nie miałby szans ani się schować ani uciec przed pociągiem. I oto w pewnym miejscu tego wąwozu zobaczyliśmy dwa pociągi stojące naprzeciw siebie „dziób w dziób” w odległości kilkunastu metrów. Okazało się, że wskutek jakiegoś horrendalnego błędu dopuszczono do ruchu dwu pociągów po tym samym torze... Oba pociągi przesunęły się powoli w jedną stronę, poza tunel, ludzie wysiedli i odpoczywali po ogromnym szoku jakiego doznali. Ze zderzenia w takim miejscu prawdopodobnie nikt by nie uszedł z życiem.

Mieszkaliśmy u Matejczyków, w najładniejszej i największej izbie. Z domu szło się lekko w dół, w odległości około 100 m był nasyp toru kolejowego; za nim droga (zwana „gościńcem”), jeszcze za nim płynęła mała rzeczka Raba. Dalej rozciągały się niewysokie, zalesione pagórki, przebycie których zbliżało do Lasku – a stąd już nie daleko było do Nowego Targu. Jeździliśmy tam furmanką, zawsze z Matej-

czykiem i zawsze w dni targowe, bo wtedy można było wiele rzeczy kupić i wiele też załatwić. Wracaliśmy obładowani jarmarkowymi łakociami, oscypkiem, co do którego zawsze były wątpliwości, czy aby nie jest z „krówskiego syra”. Ale nie był... Nie wszystkie jednak wyprawy do Nowego Targu miały sielankowe zakończenie. Pamiętam, że uczestnicy jednej z nich (myśmy nie brali w niej udziału) wrócili zmaltretowani, posiniaczeni... Otóż przed Laskiem jest ostry spadek gościńca, z dość dużym nachyleniem. „Kuń” czegoś się przestraszył i szarpnął dyszlem gwałtownie; szarpnąwszy urwał ogniwo na przodzie dyszla przez co wóz stracił sterowność – poszedł w jedną stronę, a „kuń” w drugą. Dyszel wprawdzie wbił się w skarpe niedalekiego pagórka, ale pasażerowie z impetem zostali z wozu wyrzuceni. Najstarsza uczestniczka, matka naszej gospodyni, miała aż siedem ran tłuczonych na głowie (jak to policzył na wizycie jej syn, który był lekarzem w Myślenicach), ale aparatu fotograficznego z ręki nie wypuściła. Tak bowiem Franuś mamie przykazał...

Po jednej z takich wypraw wróciła uradowana Władka, po czym odbyła się następująca rozmowa (wykrzykiwanie!) między nią a jej ciotką (tj. siostrą gospodyni):

– Ciotkuo! Kupiak wom płosc! (z dumą).

– Ej! Nooo! (zdumienie, niedowierzanie).

– A dy! A dy! (stanowcze potwierdzenie).

Po czym odbyło się przymierzanie, połączone ze zbiorowymi oględzinami. Płaszcz okazał się doskonały, na miarę i z pewnością nadawał się na pójście w nim do kościoła.

To tam, w Sieniawie, opowiadają historyjkę o tym, co się podobno w tamtejszym kościele wydarzyło. W chwili, kiedy wszyscy uklękli, napięcie wzrosło i jednej „cosik sie tam wypsło”. Dla niepoznaki osoba, która zawiniła, pociągnęła nosem i odezwała się zjadliwym szeptem:

– A któroz to, któro?

– Jeee, kieloz ich mocie, co sie tak pytocie?! – zareplikował zaraz ktoś z tyłu, kto też pociągnął nosem.

Za domem znajdowała się łączka, wielkości małego, szkolnego boiska sportowego, przecięta przez strumyk krystalicznie czystej wody. Z tej to łączki, kiedy przyszła „wielka woda” w roku 1936, wywołana długotrwałymi opadami, nasz gospodarz własnoręcznie pozbiierał i wywiózł siedem wozów kamieni, naniesionych furją potoku... Ale

zwykle, ujęty rynną na uskoku terenu, płynął sobie potok spokojnie i dostarczał okolicznym domom wody do pojenia bydła i celów kuchennych. Ku utrapieniu gospodarzy właśnie tam prowadziliśmy z bratem i wiejskimi chłopakami wielogodzinne „prace inżynieryjne” i woda stale płynęła brudna.

Tam też w małym wierzbowym zagajniku, była „strzelnica”. Z Krakowa zabieraliśmy czerwony fosfor i chloran potasu. W zagajniku mieszało się porcję fosforu z utleniaczem, umieszczało w torebce i przybijało pineską do pnia wierzby. Rozpocynało się teraz strzelanie z łuku; było słycać od razu, gdy któryś trafił.

Z wodą w potoku były też kłopoty odwrotne – czasami musiało jej być za mało, o czym świadczy następujące zdarzenie. Było w Sieniawie wszelakich owoców leśnych istne zatrzęsienie. Przede wszystkim całe połacie lasu porośnięte były borówczakiem – stąd nieprawdopodobne ilości borówek, jakich nigdy i nigdzie już potem nie widziałem. Ale było też co nie miara brusznic, malin, ostrężyn, a także i grzybów – przede wszystkim „prawdziwków”. Na zbieranie mało kto we wsi miał czas, jedynie chłopcy, pasący krowy wczesnym rankiem rozglądali się po najbliższej okolicy. A lasy były przepiękne, porośnięte zdrowymi i smukłymi świerkami, suche, zupełnie bez robactwa: żadnych węży, kleszczy – nawet komarów nie było. Któregoś dnia Mama zdecydowała się zrobić pierogi z borówkami. Do ich gotowania potrzebny jest, jak wiadomo, duży garnek. A tu tymczasem takiego nie ma.

– No, mom ci pani gornek, ale nie za duży – powiada gospodyni. – Łońskiego roku, jak my go kupowali, to wyglądoł na więksy...

Rzeczywiście, garnek był przede wszystkim ciężki, jakby był z gliny. Ale kiedy Mama poszła z nim do potoku rychło okazało się, że jest oklejony warstwami ciasta z kolejnych makaronów, klusek, pierogów, które się w nim gotowało... Po dobrym wymyciu (pewnie wtedy wody w potoku płynęło więcej) podwoił objętość i nadawał się znowu przez jakiś rok. To samo było ze stolnicą do wałkowania ciasta. I to samo było, kiedy po latach byliśmy tam z Różą i naszymi chłopcami. Podczas tej pętli czasowej w Rabie Wyżnej mieszkał w klasztorze u znajomych zakonnicy profesor Gumiński z żoną i synem. Patrzymy z Różą któregoś dnia i przecieramy ze zdumienia oczy: toż to najwyraźniej Gumiński zmierza w nasze strony. I rzeczywiście: profesor słycał, że jesteśmy w Sieniawie i przyszedł piechotą odwiedzić „Dziubdziusiów”

(jak nazywał swoich asystentów)... Byli u nas także wujostwo Gustkowie z odwiedzinami. Wtedy jednak było nas już trochę za dużo na izbę i jedną noc przespaliliśmy w stodole, na sianie².

W porze wakacji Ojciec miał praktycznie jedyną okazję do uprawiania swego hobby, którym była fotografia. Zabierał z Krakowa wyposażenie małego laboratorium. Były w nim kuwety, potrzebne do wywoływania i utrwalania płyt i papierów fotograficznych, zapasowe proszki do rozpuszczania, aparat kliszowy, trójnóg, samowyzwalacz, latarka koniecznie z nową baterijką i czerwone żaróweczki: jedne do klisz, inne do papieru. Z tym wszystkim rozkładaliśmy się w idealnej ciemni fotograficznej, jaką była podręczna „chłodnia”, wydrążona w górcie, opodal domu. W najbardziej upalne dni było tam rzeczywiście chłodno: kvasiło się powoli mleko, przechowywano też różne produkty żywnościowe. Asystowałem Tacie w tych jego pracach z prawdziwą przyjemnością, patrząc jak w tajemniczy sposób pojawiają się pierwsze linie na zupełnie białej kliszy...

Wykonanie zdjęcia miało całkiem określony rytuał. Najpierw wybierał Ojciec pagórek, z którego dobrze widać było pożądany widoczek lub akcję, na przykład przejazd pociągu. Potem trzeba było ustawić we właściwej orientacji trójnóg z aparatem (wcale nie łatwe zadanie w kamienistym terenie) itd., itd. Kiedy „nabój już był w lufie” a palec na spuście, nadjeżdżał pociąg (ważne były tylko jadące w górę) i często... nie dymił. – Dlaczego ten czort nie dymi? – denerwował się Ojciec. I całe wyczekiwanie trzeba było rozpocząć od nowa.

Na wakacjach zajmowaliśmy się nie tylko chodzeniem na wycieczki i brykaniem. Chętnie uczestniczyliśmy z Bratem w licznych o tej porze pracach polowych. Wystarczy tylko wymienić: w lipcu wyjeżdżaliśmy z gospodarzem wozem drabiniastym w pole pomóc w zbieraniu lub zwózce „kunicyny” a następnie pierwszego i drugiego siana, wiązaliśmy snopki żyta lub owsa za kosiarzami, stawialiśmy kopy siana, zboża, wsadzaliśmy je do „sąsieku” (jeden podawał widłami, drugi odbierał) wreszcie – pod sam koniec sierpnia, gdy len był dojrzały – pomagaliśmy w jego gręplowaniu i wiązaniu we wiązki do moczenia w strumyku; melliśmy także żyto na żarnach. Ciekawym jest fakt, że posiadanie żaren było karane przez Niemców karą śmierci; górale o tym wiedzieli, ale nie przejmowali się zbytnio.

Jednym słowem – wiedliśmy pracowite życie. A mimo to wczesnym rankiem, bardzo wczesnym, rozlegał się głos Władki, najstarszej cór-

ki gospodarzy: „Paniiii, idziemy – to na grzyby?”. Okropnie lubiła zbierać grzyby i z moją Mamą i później z Żoną. Na takie hasło każda z nich podnosiła się z łóżka o piątej czy o szóstej, kiedy jeszcze słońce było hen, daleko, za górami, za lasami. To już nie było dla nas.

Do Sieniawskich Matejczyków żywiłem zawsze wiele z uczuć rodzinnych. To byli bowiem jedni z niewielu ludzi, którzy znali i lubili moją Mamę, Ojca, Brata, a z pewnością nie zapomnieli też Róży i moich Synów. To byli serdeczni i gościnni ludzie i żyło się u nich dobrze.

Opowiem o jeszcze jednych wakacjach, nietypowych – bo spędzonych w Andrychowie. Któregoś roku Ojciec chciał zabrać Mamę nad morze, którego jeszcze nie widziała. No dobra – ale co zrobić z chłopcami? Zabrać ich nie bardzo można bo fundusz za krótki, zostawić w domu też nie można, bo nie ma z kim. I wtedy ktoś przypomniał sobie, że mamy w Andrychowie starszą siostrę Mamy, Adelę Żurkowską. Nie utrzymywaliśmy z nią zbyt częstych kontaktów ponieważ wiadome było, że owa ciotka obciążała Mamę w jej panięńskich czasach pracami nad jej wiek uciążliwymi. Sam ten fakt nastrajał nas do niej bardzo negatywnie. Mimo wszystko rodzice zawieźli nas tam wówczas na tych kilka dni nieobecności, ale zupełnie nie pamiętam, co myśmy tam robili. Wspominając ten epizod mam na celu jedynie ukazanie skromnej sytuacji finansowej, w jakiej żyła rodzina.

W roku 1938 zmarła nasza Mama. Powoli, miesiąc za miesiącem odbierała nam ją gruźlica, choroba wówczas nieuleczalna. Odbierała najpierw siły, potem życie. Pewnej nocy Ojciec obudził nas obu i płacząc, powiedział: „chłopcy, wasza Mama nie żyje”. Cóż mogliśmy począć? Płakaliśmy we trzech, były jakieś świece, jeszcze chyba jacyś ludzie...

Miałem wówczas trzynaście lat. Zupełnie nie zdawałem sobie sprawy z tego, że życie wśród róż właśnie się skończyło. Także dopiero dziś mogę sobie w pełni uświadomić, co przeżywał mój Ojciec, próbując bezskutecznie ratować swoją Ołę, kiedy i ja w zupełnie podobny sposób choć w trochę innych okolicznościach straciłem nieodwołalnie moją Różę...

W jakiś czas później dostaliśmy do domu – za sprawą mojej Ciotki z Andrychowa – opiekunkę, również andrychowiankę. Jak pisze Waldek: „...Pani Zosia, zalatana, zabiegana. gotująca, piorąca, prasująca... To dzięki Niej dom funkcjonował prawidłowo. W końcu... pan Rohleder powiedział: Zosiu, jestem Ci winien małżeństwo”. I tak się też stało...

Zosia wspaniale gotowała; często też piekła znakomite ciasta, desery, pączki... I stale czuwała nad naszym bezpieczeństwem. Wieczorami bywaliśmy zwykle u znajomych, razem z innymi kolegami. Potrafiła odnaleźć mieszkania, w których aktualnie byliśmy (Ojciec zawsze wiedział gdzie idziemy) i wołała nas do domu. Gdy byliśmy z bratem i Waldkiem u nas, o określonej porze napominała go – pisze Waldek) – „...drżącym z emocji głosem: „pa-ni-czu już póź-no wnet go-dzi-na poli-cyj-na!” Ile to razy słyszałem! Pani Zosia – groźna mina i... ogromnie kochające wszystkich serce w nabrzmiałej, spracowanej dłoni...”

Opiekowała się nami aż do osiągnięcia przez nas samodzielności. Znacznie później, kiedy we Wrocławiu mieliśmy już rodzinę (z dwójką chłopców i wspaniałą moją teściową) i większe mieszkanie, Róża zaprosiła Zosię do zamieszkania razem z nami. Dwa, czy trzy razy była Zosia we Wrocławiu, ale – ponieważ babcie mieliśmy dwie (w nomenklaturze chłopców „krakowską” i „małą”) a kuchnię tylko jedną – prędzej czy później dochodziło do scysji na tle – by tak rzec – niedopracowanego harmonogramu używania kuchni. Nie chciała także rozstawać się z Krakowem, gdzie mieszkały również dwie jej siostry; po śmierci mego Ojca (1956r.) Zosia żyła samotnie. Ostatecznie zmarła w Krakowie i pochowana została na Cmentarzu Rakowickim w naszym grobowcu rodzinnym.

W tymże roku, 1937, skończyłem naukę w szóstej klasie szkoły podstawowej. Zgodnie ze zwyczajami należało wybrać dla mnie odpowiednie gimnazjum. Rodzice uważali, że, podobnie jak większość młodzieży w moim wieku, powinienem dalsze kształcenie odbywać w kierunku ogólnym, na specjalizację bowiem miał jeszcze przyjść czas. Tymczasem ja sam miałem już wyraźną predylekcję do kierunku matematycznego – fizycznego i perspektywa nauki łaciny a jeszcze – o zgrozo – za cztery lata także greki zupełnie mnie porażały ogromem marnotrawionego czasu. Nie rozumiałem wówczas, że zasady kulturalnego wychowania trzeba zdobywać już w szkole średniej; licząc zaś znajomości choćby garści zasad którymi żyły narody starożytne i zaznajomić się z dziełami, które tworzyły, bez elementarnej choćby znajomości ich języka jest wręcz niemożliwe. Tak więc zdanie rodziców przeważało i rozpocząłem naukę w gimnazjum im. Św. Jacka w Krakowie przy ul. Grodzkiej, z uprzykrzoną łaciną włącznie.

Od kilku już lat interesowała mnie jednak chemia i eksperymenty. W jakimś nadesłanym katalogu znalazłem tytuł małej książeczki

„O współczesnych chemicznych środkach zapalających”, w księgarniach niedostępnej, ale można ją było zamówić. I tuż przed wybuchem wojny przysłała za zaliczeniem pocztowym. Okazała się mało przydatna ze względu na niedostępność owych „środków” (opracowanie raczej wojskowe, niż laboratoryjne). W jakiś czas później w antykwarni kupiłem Kramsztyka „Doświadczenia chemiczne bez przyrządów” – to już coś było. Potrzebowałem do tego jednak trochę szkła, maszynki spirytusowej, odczynników... siarki... To wszystko można było kupić, bowiem na krakowskim Rynku mieścił się sklep o nazwie „Chemo – Technika”. I Ojciec, wracając z pracy, tam wstępował. W kuchni zrobiło się powoli ciasno – nie miałem się z tym gdzie pomieścić. I znowu Ojciec przyszedł mi w sukurs: zamówił szafkę z szybami, wieszaną na ścianie, w której zacząłem ustawiać moje precjoza. Ojciec też dostarczył mi niedostępnych odczynników takich, jak stężone kwasy: siarkowy, azotowy i solny. Zacząłem rozpuszczać metale, patrzyłem, jak tworzą się i krystalizują z wody sole, wytwarzałem wodór i koloidy... Szczytem wszystkiego był подарowany mi kiedyś mały kalendarz lekarski, w którym zamieszczono spory rozdział „O mieszaninach lekarstw nie zgadzających się”. Szło w nim zapewne o to, by początkujący lekarz nie przepisywał dwu specyfików, które w jakiś sposób reagują ze sobą (na obszarze pacjenta). A mnie to właśnie najbardziej interesowało! Stałem się więc prawie stałym bywalcem pobliskiej Apteki, gdzie po kilku wizytach z Ojcem traktowano mnie bardzo cierpliwie i odmierzano lub ważono próbki „lekarstw nie zgadzających się...” Warunek był tylko taki, żeby przygotowaną przeze mnie „receptę” zostawić do następnego dnia. Pamiętam też, że nadzwyczaj mnie frapowały takie nazwy, jak „magnezja”, „wapno”, „wodzian chloralu” i inne. Poszedłem kiedyś samodzielnie do Chemo – Techniki i zażyczyłem sobie solidną porcję „magnezji” myśląc, że to coś palnego. Sprzedali mi bez oporów, ale ze zdziwieniem: do czego potrzebna mi taka spora ilość „magnezji?” Kiedy w domu podsunąłem próbkę pod palnik, nie stało się dosłownie nic. Po latach dopiero dowiedziałem się, że zagadkowa nazwa „magnezja” w handlu (chemicznie MgO) oznacza śnieżno – biały proszek, służący do wybielania butów tenisowych...

Doświadczenia z wodorem omal nie pozbawiły mnie wzroku. Ze słoja, pozbawionego dna (sam to dno odcinałem), zrobiłem gazometr do gromadzenia wodoru. Szyjka zamknięta była korkiem, przez który

przechodziły wygięte nad palnikiem dwie rurki szklane, pozwalające gaz doprowadzać i odprowadzać. Na początku cały gazometr wypełniało się wodą, którą później wypierał wytwarzany gaz. Po napełnieniu zapaliłem wyjście z gazometru: pojawił się nikły płomyk, który mnie nie zadowalał (nie było możliwości regulacji ciśnienia gazu). Przystałem więc usta i zacząłem dmuchać do wnętrza zbiornika, zupełnie zapominając o tym, że zawartość po każdym dmuchnięciu zbliża się do wybuchowej. I rzeczywiście: po którymś dmuchnięciu gazometr eksplodował z hukiem i został rozerwany na strzępy. Jeden z fragmentów słoja utkwił mi w twarzy – na szczęście Ojciec był już w domu. Złapał mnie za głowę i wyciągnął prawie cały wierzch słoja z mojej facjaty – ostro krwawiłem. Z głową omotaną ręcznikiem Ojciec zawiózł mnie na pogotowie gdzie stwierdzono, że oczy są nie uszkodzone, trzy zęby wybite, a porządnie rozciętą wargę da się zszyć. Przy okazji obrano mnie z resztek odłamków szkła. Lekarz zapowiedział jednak, że deformacja wargi zostanie mi na całe życie jako przypomnienie pamiętkowego doświadczenia.

Wszystkie dywagacje nad moją dalszą edukacją i całe to zżymanie się na stratę czasu wkrótce już miały stać się absolutnie bezprzedmiotowe, bowiem 1 września 1939 Niemcy w podstępny i bandycki sposób najechały na nasz kraj i rozpoczęła się wojna światowa. Pretekstem, błahym i zarazem kłamliwym, była neodparta żądza Niemców przejęcia na własność Wolnego Miasta Gdańska wraz ze skrawkiem plaży morskiej, co miało połączyć Ziemię Prus Wschodnich z Vaterlandem w terytorialnie jednolity obszar; faktycznym jednak zamiarem było zniszczenie Państwa Polskiego i doprowadzenie do jego rozbioru. Świadczy o tym porozumienie między Niemcami i ówczesnym ZSRR (pakt Ribbentrop – Mołotow), zawarte poza naszymi plecami.

Polskie szkoły zostały natychmiast zamknięte. Wprawdzie w kilka miesięcy później otwarto Szkoły Techniczne Specjalistyczne (na przykład Budownictwo, Chemia, Budowa Maszyn), których nauczanie miało zawierać program czteroletniej szkoły polskiej, ale było to twierdzenie w połowie tylko prawdziwe: naukę bowiem przedmiotów humanistycznych (język polski, historia, geografia) zredukowano do krótkich pogadanek lub je skreślono. W dodatku policja niemiecka często spacerowała po klasach z pistoletami wyjętymi z kabury, przerywając lekcje i przyglądając się bacznie poszczególnym uczniom. Życie mło-

dzieży w niby polskich szkołach stało się nadzwyczaj tanie... Musiałem iść do pracy.

Rychło obwieszczono, że wszystkie lampowe odbiorniki radiowe, posiadane przez obywateli, mają być oddane „na przechowanie”. Myśmy mieli wówczas nowiuteńkiego Philipsa, pięcio lampowego, kupionego pół roku wcześniej; jeszcze nie wszystkie raty za niego zostały spłacone... Ojciec wtedy powiedział, że go schowa u siebie w magazynie – może w ten sposób odbiornik doczeka lepszych czasów. Razem z naszym spoczęło w magazynie jeszcze kilka innych, których właściciele przyjaźnili się z Ojcem.

2. Piątka z ulicy Lubomirskiego

Cieplejszą porą roku, jak tylko zniknęły białe płachty śniegu, łąkowałem z kolegami po podkrakowskiej okolicy. Było nas pięciu bliżej zaprzyjaźnionych chłopców, rówieśników, spośród których najczęściej wspominać będę Sławka Brochockiego. Dziś jest znanym i uznanym malarzem – artystą, żyjącym nadal w Krakowie przy ulicy Lubomirskiego 3. Poznałem go w czwartej klasie szkoły podstawowej – jest to zatem człowiek, którego znam w moim życiu najdłużej, bo aż sześćdziesiąt sześć lat; utrzymujemy ze sobą kontakt, do dzisiaj, najlepiej się znamy i rozumiemy. Później dołączył do nas Poldek Torba i Zdzisław Stukus. Imię Stukusa nakłada się z imieniem mego Brata; dla odróżnienia o Stukusie pisał będę „Żdzisek” – tak, jak go nazywano w jego domu. Najpóźniej przystał do nas, puszący się nieco „kadecek” – Edward Błaż (przed wojną '39 należał do Korpusu Kadetów i tam pobierał nauki; stale widziało się go w mundurze).

Obok rodzinnego było to grono najbliższych kolegów, z którymi spędzało się wiele czasu wolnego od nauki. Dziś myślę, że nasze wspólnie przeżywane zabawy, figle, doświadczenia, wycieczki – to była pewna szkoła życia, w której realizowały się nasze wspólne pomysły, umiejętności... Przebywając razem – stawaliśmy się, szukając podświadomie ścieżek, którymi każdy z nas w niedalekiej przyszłości miał samotnie podążać.

Kiedy pora roku była chłodniejsza – zbieraliśmy się wieczorami u Sławka Brochockiego. W jego domu (właściwie było to mieszkanie, należące do jego Dziadka) było najwięcej miejsca, gdzie nasza piątka mogła się pomieścić. Opowiadaliśmy sobie wydarzenia dnia, „przetrawialiśmy” wspólnie zasłyszane zmiany w świecie, snuliśmy plany wycieczek i zajęć.

Centralną postacią domu był, oczywiście, Dziadek Sławka – w większym stopniu, niż jego Mama, która pracowała w zawodzie nauczycielskim w odległych Stępcicach (w powiecie miechowskim) i przyjeżdżała w okresach świąt i wakacji. Dziadek, kiedy go poznałem był starszym panem blisko siedemdziesiątki. Chromał na jedną nogę i zawsze widywało się go z nieodstępną laską. Zaglądał czasem do nas, ale mało co mówił. Traktował nas jednak coraz poważniej w miarę jak dorastaliśmy. Zaczął z nami rozmawiać, interesował się naszymi losami a niekiedy pewnie i naszymi pomysłami. Budził we mnie zawsze najwyższy szacunek przez swoją mądrość, znajomość łaciny i innych gimnazjalnych przedmiotów, które doskonale pamiętał z czasów swej edukacji. Trochę się go bałem, ponieważ był zawsze poważny a nawet wydawał mi się trochę surowy. Ale to były tylko pozory. Najlepszym dowodem Jego dla nas sympatii było to, że sam zaproponował wspólną grę w preferansa i nauczył nas jej zasad. Gra, zbliżona do brydża i też poprzedzona licytacją, miała interesującą odzywkę, zwaną „mizerką”; gracz który ją deklarował, zobowiązywał się nie zabrać ani jednej lewy. Wtedy słyszeliśmy Jego śmiech i żartobliwe komentarze, towarzyszące grze.

Z dzisiejszej perspektywy sędzę, że Pan Beniowski był Dziadkiem nie tylko Sławka, ale po trosze nas wszystkich – tym bardziej, że żaden z pozostałej czwórki swego Dziadka już nie miał. A mógł być i naszym Przewodnikiem i Opoką w tych trudnych, okupacyjnych czasach. Mimo, że o takich rzeczach jeszcze się wówczas nie myślało, starsze pokolenie – być może – uratowało w pewnym okresie nasze istnienia. Było to w czasach, kiedy okupacja hitlerowska już się kończyła; Niemcy pakowali się i wyjeżdżali, a przez naszą granicę przelewała się armia sowiecka. Uradziliśmy w naszym gronie, że uciekniemy zagranicę, jak wielu to czyniło. I wtedy Dziadek i nasi Ojcowie stanowczo się temu sprzeciwili i wyperswadowali nam tę wyprawę. I chwalił im za to.